

## OSTATNIE OFIARY STALINIZMU W POLSCE W OKRESIE STANU WOJENNEGO 1981-1983 I ICH OBROŃCY

---

**Wywiad z Mieczysławem DZIURBASZEM  
przeprowadzony przez Jacka Galewskiego  
w Białymstoku, dn. 7 lipca 2008 roku**

**Nazywam się Jacek Galewski, jestem ankieterem Fundacji KOS. Celem naszej rozmowy będzie udokumentowanie pańskiej pamięci o okresie stanu wojennego. Chciałbym też zapytać o inne wydarzenia z pańskiej przeszłości, które w Pana ocenie mogły mieć znaczenie dla pańskiego życia w tamtym czasie.**

Nazywam się Mieczysław DZIURBASZ

Urodziłem się w roku 1960, w Morażu, na terenie Prus, a mieszkam w Białymstoku, w zielonych płucach Polski. A generalnie chcę być cały czas Polakiem. Nie chcę nigdzie wyjeżdżać, nie chcę zmieniać kraju.

[Moi rodzice byli] rolnikami, to chłopcy byli po prostu. Oni pracowali na roli, mama pochodziła z wielodzietnej rodziny. Bardzo wcześnie zostali osieroceni, mój dziadek musiał się opiekować mamą. To było w trzydziestym już bodajże roku, moja babcia umarła. Została pochowana na cmentarzu pod Świsłoczą. I mama sama musiała sobie cały czas dawać radę. Mój tata mieszkał we wsi, w Bortnikach, we wsi niedaleko. No i tam poznali się. Urodziło im się tam dziecko, po oczywicie... Już byli małżeństwem, bo w pięćdziesiątym szóstym roku, na terenie byłego Związku Radzieckiego, w tej chwili Białorusi, w międzyczasie być może Rosji. Mój najstarszy brat Janek. Iwan. Ma tak wpisane, Rusek. [śmieje się]

Później oni wyjechali już ostatnim rzutem repatriantów, to związane było z pobytem, między innymi, mojego ojca w wojsku radzieckim, bo ojciec był aż we Władywostoku. W okresie wojny z Koreą został wywieziony tam. Nie był wojskowym, był szeregowym kierowcą, samochodem jeździł.

Jak w domu rodzinnym były rozmowy na temat historii, ja miałem totalny kogiel-mogiel. W telewizji widziałem co innego, a słyszałem o jakimś Władywostoku. Moja siostra urodziła się w Baku jedna, a druga w Wenecji, pod Morażem. [śmieje się] I to jest cyrk na kołach, bo jak jest się dzieckiem, to przeważnie dzieci mają rodzinę gdzieś w sąsiedniej miejscowości, a u nas rodzina się składała, gdzieś tak z kawałków, Bóg wie skąd. Ja nie wiedziałem, po co myśmy do Białegostoku z Moraża przyjechali, z Dobrocina zasadniczo. Ja myślałem, że tam są moje rodzinne strony. Okazało się, że nie. To było znacznie później, jak zdałem sobie sprawę z tego, jakie są moje prawdziwe korzenie. I też nie do końca, bo w latach siedemdziesiątych po raz pierwszy pojechaliśmy na grodzieńszczyznę i tam właśnie zobaczyłem te tereny. Byłem przerażony. Nie wyobrażałem sobie, że... Mnie się wydawało, że Polska wtedy to jest prawdziwy zachód. No, coś okropnego, to były kołchozy, rzeczy niepojęte dla mnie. Nie wiedziałem, jak moi rodzice mogli tam mieszkać.

Moi rodzice nie uważali się za Polaków, moi rodzice zawsze byli, będą i są Polakami. Dziadowie tak samo, dziadek Feliks, dziadek Aleksander z drugiej strony, to byli Polacy. Ich stosunek do tak zwanej w tej chwili mniejszości był normalny, znaczy oni uważali, że są to po prostu ludzie, którzy wyznają inną religię, prawosławni. Wiem o tym doskonale, bo opowiadali mi. U nas wiem, że przed wojną mieszkała rodzina prawosławna, która spaliła się, przez jakiś okres czasu. Jedni po prostu mieli swoją religię, inni swoją, było wszystko gitara. W tej chwili to się w jakiś sposób próbuje się to tak jakby wyeksponować. Mówi się: jestem Białorusinem i tak dalej. No, wtedy nie mówiono chyba „Białorusin”. Być może... Na pewno były jakieś, gry polityczne, gdzie musiało się powiedzieć „wy jesteście Białorusinami”. Poza tym mówiono tak zwanym prostym językiem. Wiem o tym, bo nawet w domu bywały takie słowa, których tutaj nie spotykam. Nawet w Białymstoku nie spotykam tych słów. Niestety nie przypomnę sobie, bo to było bardzo dawno temu.

Do szkoły chodziłem w Białymstoku. Od samego początku w Białymstoku. Mój brat w Morągu się uczył, później w Białymstoku w szkole podstawowej. Wychowaliśmy się całkowicie w Polsce, brat mój nie pamięta nic z tamtych terenów, nic kompletnie. Rodzice... Oni też mają tak jakby... Wszystkie rzeczy związane z Rosją, to później mówią „kołchoz”. Nie mówią, że to było... Tylko w kołchozie, że to wszystko się działo, tak jakby opadło coś na to. Bo zawsze jak jest rozmowa przed wojną o rodzinie i tak dalej, to tam opowiadają i są dokumenty dotyczące jakiegoś mienia pozostawionego, to jest zupełnie inna rozmowa, niż o tym, co się działo przed tą historią nim pierwszy sowiet przyszedł, a co innego, jak już później nastąpiła Rosja.

Później [poszedłem] do [szkoły] zawodowej i później jeszcze technikum. Nie miałem swojego... Powiem szczerze, że ja szedłem budować łódzie. Może to się wiązało z tym, że gdzieś tam, kiedyś, jak byłem mały, to jezioro niedaleko było Ruda Woda, chodziłem, tam była binduga, tam się zatrzymywali ludzie, którzy spławiali drewno i sobie oglądałem tam różne rzeczy i strasznie chciałem mieć własną łódź, taką, żeby sobie popływać, pożeglować.

Moja rodzina ze strony ojca, to są ludzie, którzy, jeżeli się kłócą, to się na śmierć i życie kłócą. Taka przywara polska jest. I w ubiegłym roku odnaleźliśmy drugą część naszej rodziny. Takiego stryjka bardzo dalekiego, to jest brat dziadka Feliksa i jego syn. Nazywa się Dziurbacz, nazwisko zostało zamienione. No, to jest skomplikowane, to znaczy nie jest skomplikowane tylko bardzo łatwo się przy nim pomylić. Dziurbacz Adam jest kapitanem żeglugi wielkiej. [śmieje się] Myśmy się szukali, bo moi rodzice jak przyjechali, to pierwsza miejscowość, która była do zamieszkania, to była Świdnica. Pojechali tam, ale dziadkowi się nie podobało. To nie były tereny, na których on by chciał mieszkać, to były tereny zupełnie obce kulturowo. Tam trafili jako repatrianci, bo tam był brat ojca, który był na robotach w Niemczech bodajże. Dziadek tam przyjechał, zobaczył to wszystko i powiedział absolutnie nie. A był despotyczny, pokłócił się i nie rozmawiali ze sobą kupę lat. My później przez Czerwony Krzyż... A, to były cuda!

Pamiętam doskonale Morąg i Dobrocin, te miejscowości, gdzie się wychowywałem jak byłem mały. Dlatego że bardzo niedużo było rówieśników, jak byłem. Poza tym one... Powiem, jak to wyglądało w praktyce. To było troszeczkę wyizolowane, te dzieci były, pomimo tego, że mieszkaliśmy w czworaku... Tam przrzucano nas z budynku do budynku. Rodzice cały czas odkładali pieniądze, bo chcieli wrócić jak najbliżej tych stron, po prostu, żeby jak najbliżej być swojego. Nie wiem, w jakim sensie, czy ziemi, czy własności, czy po prostu może nawet samych ludzi. Mnie się wydawało, że tam jakichś strasznych nie miałem problemów. Nigdy nie czułem się ani odrzucony... Jakichś nie miałem żadnych traum z tym związanych. Pamiętam, że najlepiej bawiłem się na

cmentarzu. Mnie zadziwiło to, że był kompletnie... Ja byłem w ubiegłym roku na tym cmentarzu, on jest [nadal] kompletnie zdewastowany. To w Dobrocinie. Tam duży majątek był i zapewne jakieś znamienite osobistości były pochowane. Dlatego też takie pomniki jakieś egzotyczne były. Tam przebywałem dość często.

Jak przyjechałem tutaj z powrotem do Białegostoku... Znaczący, z powrotem...! Jak przyjechaliśmy do Białegostoku, mnie się kompletnie to miasto nie podobało. To zupełnie było coś innego, to był koszmar. Tam była swoboda, a tutaj to była mała ulica... Bo rodzice nie chcieli mieszkać gdzieś tam, tylko zawsze próbowali mieć kawałek własnego gruntu. Do dzisiaj przechowujemy kufer, bo rodzice przyjechali do Polski z kufrem jednym. Taki zielony kufer, on dla nas jest takim przedmiotem... Nie kultu, nie... Ale to jest rzecz, która się jeszcze może przydać. Na wszelki wypadek jest. [śmieje się]

[W szkole] należałem do organizacji, którą założyłem. To był klub przyjaciół LS „Leonid Teliga”. Była taka gazeta „Świat Młodych” i był taki statek, drewnowiec, który został nazwany imieniem Leonida Teligi. To było w latach siedemdziesiątych, w miarę niedawno po śmierci Leonida Teligi, a dla mnie to był taki ideał. To był człowiek, który był niezależny. Później się mówiło kapitan Baranowski i tak dalej. A Leonid Teliga był pilotem, nawigatorem bodajże. Latał w okresie drugiej wojny światowej. Później był dziennikarzem, jakimś takim chyba mało znanym, a całe życie chciał zbudować łódź i świat naokoło opłynąć. I zrobił to. Dla mnie to było coś nieprawdopodobnego. Mi się wydawało, że ten człowiek, no... I trzeba było zrobić jakąś akcję, kurcze, coś takiego. Ja pomyślałem sobie, że coś takiego zrobię. Narysowałem łódź Leonida Teligi, mapę, jak naokoło świata przepłynął i... I to taka była organizacja jednoosobowa. Żeby być w tym, to trzeba było zorganizować lekcję jakąś. Ja zrobiłem taką lekcję. I to w sumie była jedyna organizacja, do jakiej należałem. Do harcerstwa nie należałem z wiadomych względów. Po prostu nie mogłem chodzić w krajce czerwonej w Starosielcach. Już pomijając względy ideologiczne, prawdopodobnie byłbym straszliwie poobijany. Starosielce zwane były Meksykiem, tak jak każda jakaś dzielnica o złej kondycji. Także nie sądzę, żeby ktoś w krajce miał odwagę tutaj przychodzić. [śmieje się] Ja absolutnie w domu bym się nie mógł pokazać w czymś takim. To nawet nie chodzi o to, że rodzice mieli bardzo jakiś określony, kategoriyczny... Próbowali wyegzekwować zakaz dla mnie... W żadnej organizacji. Po prostu nie było to stosowne chyba.

Wuj, brat mamy, wujek Staszek, inżynierem był, był w wojsku, był bardzo silnie związany z wojskiem. Był podpułkownikiem, a później został zdefraudowany, bo od lat czterdziestych... Miał na nazwisko Łoposzko, panięnskie mojej mamy. A tutaj był taki słynny człowiek, którego pseudonim był Łupaszko. I w latach czterdziestych mojego wujka, który usilnie próbował dostać się do jakiegokolwiek szkoły inżynierskiej... Przytrafił mu się areszt w Białymstoku, gdzie posądzano go o różnego rodzaju konszachty. Sytuacja jest o tyle skomplikowana, że tutaj, od Wołkowyska, poprzez, no... Gdzieś tam była ciotka, która jakieś tajne nauczanie robiła, cuda-wianki gdzieś tam się wyrabiały i być może gdzieś tam coś było na rzeczy. Z tym, że ja dokładnie tego nie wiem, bo w tej chwili mamy nie ma, mama jest w tej chwili w Stanach, a dobrze byłoby się dowiedzieć paru rzeczy, bo... Których jeszcze nie wiem. Bo nie wszystko zostało powiedziane.

U nas było dwóch rodzonych braci w rodzinie i jeden był akowcem, a drugi był milicjantem. Rodzeni bracia. Na weselu mojego brata była taka akcja, kiedy, już pod koniec wesela wybuchła straszliwa kłótnia, bo ten milicjant zaczął się śmiać: „kiedy do ciebie w końcu Anders na białym koniu przyjedzie”. A to był rok osiemdziesiąty czwarty lub piąty. Później była taka chryja, że wujkowie znowu się pokłócili... Bo wiem, że jeden drugiego przepytywał na okoliczności ideologiczne w latach czterdziestych. Bo jeden

chciał drugiego skaperować do własnej organizacji. To w ogóle nie wypaliło. Tutaj była skomplikowana sytuacja, tu nie było rzeczy prostych, kurcze.

Białostoczczyzna, nawet jeżeli chodzi o dostęp do tytułów prasowych to była... No, średnio tutaj było. Czytywało się „Przekrój”, „Szpilki”. Może to nie kierunkowało jakoś ideologicznie, bo tam się raczej czy jakąś prozę czytało, czy... Ale nie było jakichś informacji. Może też to środowisko, w którym się obracałem nie było zainteresowane, trudno mi powiedzieć generalnie. Natomiast poprzez takiego znajomego, który był fotografem... Nie fotografikiem, tylko zwykłym był fotografem, który po wystawach jeździł i miał kontakty. On przywiózł mi coś takiego, to była... Pamiętam, że właśnie było tam nazwisko pana Moczulskiego, to był jakiś komitet... Ale nie KOR, to nie było korowskie, tylko to było wydawnictwo KPN-u. Dokładnie pamiętam, bo był orzeł kapeenowski, czy znaczek, takie logo. I ponieważ to była bardzo głęboka jakby historia, taka zakamuflowana, myśmy to sobie przekazywali, nikt za bardzo dokładnie o tym nie wiedział... A to było w czasie, kiedy wyszła płyta Pink Floydu „Ściana” jednocześnie. Ja byłem wtedy namiętym słuchaczem muzyki... To był taki... Taka kaszanka polityczno-muzyczna, Bóg wie co. Nie za bardzo wiedziałem, o co mi chodzi. [śmieje się]

Tutaj środowisko było dosyć hermetyczne, bo myśmy przebywali generalnie w Starosielcach. Tutaj było ciężko dojechać. Dwa autobusy dojeżdżały ze śródmieścia, one o określonych godzinach kursowały, więc przeważnie się spotykało na wiadukcie. Tutaj różne rzeczy się działy. Ludzie mieli broń, na przykład, załóżmy. To jest rzecz naganna, teraz, nie? I ja również miałem tam jakieś takie dziwne zabawy, nie? No, znaczy dziwne... Normalne w tym wieku. Człowiek różne rzeczy wymyślał, że w życiu osiągnie i dokona.

No i gdzieś tam próbowałem jakąś łódź zbudować... Powiem z czym mi się generalnie kojarzy okres PRL-u: z totalnym brakiem rzeczy potrzebnych. Kleju, papierów ściernych... Ja chciałem zbudować łódkę, małą, niedużą, nie? I nic nie było kompletnie. Pamiętam, że były tępe piły. Nie było nic, kompletnie nic nie było.

Skończyłem naukę i zacząłem pracować tutaj, [mówi przyspieszając] w Krajowych Zakładach Konstrukcji Stalowych i Urządzeń Dźwigowych imienia Rewolucji 1905 Roku. Ale nie było tam takiej pracy, co bym chciał robić, to trafiłem na modelarnię. Z tym, że nie budowano modeli tam takich typu model, tylko modele do odlewania, do odlewni. Czyli koła i takie różne historie. I tam był człowiek, który był indywidualistą niesamowitym, bo tych modelarzy niewielu było, a on był jednym z tych niewielu. [śmieje się] I miał różnego rodzaju fanaberie. Nie chciał mnie w ogóle uczyć nic. Przede wszystkim, pierwszą rzecz, jaką zrobiłem, to zrobiłem na wysoki połysk strugnicę. Czyli tam musiałem te wszystkie narzędzia, które miałem powyczyszczać, poumieszczać na odpowiednich miejscach, poostrzyć. I to trwało chyba ze trzy tygodnie. Mnie krew zalewała, bo chciałem coś sensownego robić. I później okazało się, że nic sensownego do roboty nie będzie, bo te modele... To był człowiek, który doskonale poruszał się w tym trybie pracy peerelowskiej. Był magazyn modeli i te modele się powtarzały. On tylko wchodził do tego magazynu, wybierał odpowiedni, malował go, przemalowywał, bo to wiadomo... Tam nie było nowości. Cała praca w KZK, śmiało mogę powiedzieć, to był kompletny... To był bezsens. No, naprawdę, modele pracowały w tej modelarni.

Ja w modelarni zajmowałem się różnymi rzeczami. Na przykład malowałem obrazki sobie. Nie jako lewiznę, tylko z nudów. Pobierałem symboliczne pieniądze i to było męczące, bo myślałem o tym, jak zarobić pieniądze jakiegokolwiek, w pracy będąc. A praca polegała na... [śmieje się] Praca polegała na tym, że, autentycznie, wyrzucaliśmy wióry na podłogę. Był taki kosz, w którym wywalaliśmy śmieci, żeby były wióry. Pan

Osiłko włączał radio „Minor”, takie malutkie, robił herbatę, ja piłem z nim razem tą herbatę, jedliśmy śniadanie, to było tuż po przyjeździe do pracy, po wyrzuceniu. On przebierał się w taki chałacik, ja nie. [śmieje się] I on siadał, o w takiej pozycji [opiera się na stole] i gdzieś tak do jedenastej spał. A ja w tym czasie chodziłem... Bo KZKS miał taki fajans ogromny. Tam były stare dźwigi, jakieś niesamowite wagony. Ja zwiedzałem to. Z wielką korzyścią dla siebie, aczkolwiek nudziłem się setnie. Zakład miał profil wojskowy, gdzieś tam jakieś tajemnicze strasznie historie wojskowe robili, ale ja tego nie widziałem. [śmieje się] Znaczący mosty budowano wojskowe, jakieś tam rozkładane, tajemnicze. No i gdzieś tam uczestniczyłem w wyrobie tego produktu, nie wiem, w jaki sposób. Przez roku czasu, no, praktycznie do pójścia do wojska, ja tam próbowałem... Techników już się o wszystko zapytałem, wszystko po prostu nie miało sensu, kompletnie nie miało sensu. Do pracy miałem niedaleko, bo to było kilkaset metrów, z tym, że szło się w kierunku lasu tak jakby. Nie miałem nawet tej przyjemności, żeby jechać autobusem i na ludzi patrzeć, tylko codziennie rano wstawałem, byłem [wymawia bezgłośnie] w...ny, że muszę iść tam.

Siedemdziesiąty dziewiąty rok. I do wojska. Mogłem kombinować, mogłem jakieś tam szkoły skuteczniać. Byłem wtedy straszliwie leniwy, zresztą do dzisiaj leniwy jestem. Doszedłem do wniosku, że po prostu lepiej to mieć za sobą. U mnie w domu starszy brat do wojska nie poszedł, nie? Tutaj rodzice straszną wrzawę podnosili, bo próbowali tam jakieś znajomości uruchamiać, a ja myślałem sobie, Chryste Panie, co tam się będę przejmował. Nikt mnie nie... Nie jestem pierwszy, nie ostatni. Pomimo tego, że mówili, że tam jakieś straszne historie się dzieją. A, myślałem, w Starosielcach mieszkam, to się tam nic mi nie stanie straszego. Miałem to szczęście, że miałem wspaniałego, fantastycznego kolegę, Wojtka Ferenca. Razem poszliśmy na komisję, razem trafiliśmy do tej samej jednostki, jechaliśmy razem do wojska. To był kolega mojego kumpla, jednego z najlepszych kumpli, za którego teściów przyczyną poszedłem później siedzieć.

Później, właśnie w osiemdziesiątym roku, to było 26 kwietnia, to bardzo dobrze pamiętam, dostałem datę powołania do MSW. Myślę sobie, Chryste Panie, a cóż to jest to MSW? Myśmmy kombinowali jak konie pod górkę, bo nikt w tym wojsku w ogóle nie był, co to jest. Wtedy, w osiemdziesiątym roku, nikt nie wiedział za bardzo, co to jest ZOMO, jaki to ma związek. Nic się za bardzo nie dowiedziałem od tego człowieka, który mnie tam skierował, oprócz tego, że to jest jednostka wartownicza. I tutaj mi przetłumaczyli, że to jest przeorane, jak to się mówi, jak w ruskim czołgu, że tam są warty i tak dalej. No i byłem wściekły trochę. Tylko tyle... Mi mówiono, że Warszawa to jest blisko, no i faktycznie niedaleko było. Pojechaliśmy do tego MSW. 26 kwietnia, pamiętam bardzo dobrze, że z Warszawy wieziono nas do Raducza. Byłem przerażony kompletnie. Myślę, Chryste! A byłem pijany totalnie... No, tego wymagał status poborowego, który jedzie o wojska, żeby się narąbać i ja tego dokonałem razem z Wojtkiem i razem z jakimiś przypadkowymi zawodnikami, którzy okazało się, że do tej samej jednostki jadą. Myśmmy tak pili, pili i skończyliśmy pić w restauracji na Rozdrożu. Tam się nam skończyły pieniądze, nie wiem dokładnie, tylko pamiętam, żeśmy tam gdzieś zbiegali, bo to w okolicach Parku Łazienkowskiego ta jednostka jest nieszczęsna. Nikt włosów z głowy nie wrywał, pomimo tego, że byliśmy nawaleni jak odrzutowce. I tam już później się zaczęło to wszystko toczyć, bo jak się wchodzi, to już później idzie. Ja ten pierwszy dzień dość dokładnie pamiętam. Przerażony byłem tylko mundurem, bo mundur był zapinany pod szyję, a mnie krew zalewała, bo ja nie cierpię... Widziałem, że tam plastikowe są takie historie naokoło szyi, no, to już wiedziałem, że jest przerażane. Bez względu na to, co bym nie robił, to sam mundur już był...

Samo przyście do wojska, te historie administracyjne, to jeszcze nie jest wojsko. Wojsko się zaczyna w momencie, kiedy krzyczą rano „pobudka”. A zostaliśmy w Raduczu zakwaterowani w takich gigantycznych, olbrzymich stajniach po Piłsudskim. Bo tam był od wieków chyba jakiś poligon w tym Raduczu. To jest pod Warszawą, chyba ze trzydzieści, czterdzieści kilometrów od Warszawy, w okolicy Skierniewic. Jak otworzyłem oczy, zobaczyłem, że leżę pod jakimś kocem i naokoło jest mnóstwo ludzi, masa. Wszyscy gdzieś zeskakują, coś robią. Dla mnie te czynności kompletnie... Ja nie wiedziałem, co mam robić w ogóle. No, ale tam się znalazła dosyć szybko osoba, która była o jeden dzień dłużej i już mi mówił: „ty, człowieku, tutaj trzeba, wiesz, to wszystko posłać, jakiś taboret...”. Nie spotkałem się generalnie z przypadkiem takiego żupactwa, czy tych historii w rodzaju „Krolla” i tak dalej. Natomiast nie mogłem jakby zrozumieć, co to za wojsko jest. Bo dziwne mundury mieli, ta jednostka. Wiem, że była wartownicza ta jednostka. Nam zaczęli opowiadać, że tutaj się pilnuje obiektów rządowych i tak dalej, i tak dalej. Z tym, że jeszcze nie czułem jakby prawdziwej zawartości tego. Chociaż tam zasadniczo takiej zawartości, takich przesłanek nie było, nie? Takich żeby się niepokoić już, bo naprawdę nic tam nie było takiego. W każdym razie nie wysyłano z pałami, czy coś takiego. Chociaż muszę powiedzieć, że w roku osiemdziesiątym pierwszym, tuż przed wybuchem stanu wojennego, tuż przed akcją Szkoły Podchorążych z naszej jednostki wzięto ludzi, którzy obstawiali pierścieniem Szkołę Podchorążych Pożarnictwa. Krew chłopaków zalewała, bo użyto ludzi w sumie, którzy powinni być w MON-ie i nie powinni być angażowani w takie historie. Wiadomo, jak traktowało społeczeństwo tych ludzi. Później czytałem Nowakowskiego książkę o stanie wojennym i dziwnie się czułem. Nie byłem z ZOMO, byłem po drugiej stronie i miałem zupełnie inne odczucia.

Zaraz po okresie unitarnym wywieziono nas do Lipska nad Biebrzą. W głowę zachodziłem po co my tam jedziemy. Wiedziałem, że wojsko... „Paragraf 22” przeczytałem zanim poszedłem do wojska, także byłem odpowiednio usposobiony, tak. Pewnych mechanizmów nie usiłowałem pojmować i to ratowało skórę w wielu sytuacjach. Jechaliśmy cały Boży dzień, to niedaleko było od Warszawy, zajechaliśmy do tego Lipska nad Biebrzą. Zadupie totalne. Nie wiedziałem, po co myśmy tam zajechali, bo tam ani... Tam trzeba było namioty rozstawiać i tak dalej. Ja myślałem zawsze, że wojsko jakieś manewry robi, raketami strzela, czy jakieś armaty, nie? A tu kompletnie nic. Przywieźli materace, tu będzie kuchnia, tu będzie to, tu będzie tamto. No, okazało się, że będziemy budować ulice.

To była najpierw kompania specjalna, tak się nazywało, bo tam byli sportowcy, saperzy, takie różne wynalazki, co to malowali obrazki, pisali ładnie... Takie dziadostwo różne. Kumple, którzy byli normalni, zdrowi, układni, szli na warty. A te wynalazki tak przerzucano, kurcze. Jak napisali „kompania specjalna”, to kumpel do mnie mówi: „słuchaj, będziemy ludzi mordować, hehe”. [śmieje się] Bo takie głupie są obyczaje w wojsku. No i tak trafiliśmy do tego Lipska nad Biebrzą. I wtedy dopiero... W Lipsku nad Biebrzą był taki major Powalka, taki dobrotliwy człowiek, który opowiadał, że w wojsku został dlatego, że mu ubranie cywilne podobno skradziono, jak miał wrócić do cywila. Nie wiedziałem kompletnie o tym, że minister spraw wewnętrznych, czyli przełożony jakby bezpośrednio nad tą jednostką, w której myśmy byli... Mnie to w ogóle nie interesowało, człowiek nie wiedział. To był obywatel honorowy Lipska nad Biebrzą, on się tam urodził i on dlatego tą jednostkę walił tam. I te wojski budowały tam ulice. Ciężarówki przyjeżdżały, żwir woziły te ciężarówki, myśmy ten żwir rozsypywali na drogach, układali chodniki. Była taka heca. To było ciekawe: były krawężniki i był żwir. Ten żwir się przywoziło, nie wiem, czy tam jakiś nadzór, jakaś inspekcja... No, nic nie było. Tylko ładnie wyglądało. Później przychodził deszcz i wylukiwał co się dało, tylko

te krawężniki rozkradali tuziemcy. Wszystko fajnie się działo, aż do lipca. W lipcu okazało się, że coś się dzieje. Nikt nie wiedział, co. Nasz bóg i car przylatywał śmigłowcem. Ja nie wiedziałem wtedy, co to za kanalia jest generalnie. Tam WOP był, taka mała nie jednostka, tylko oddział WOP-u w tym Lipsku był i oni mieli takie sanktuarium tego naszego boga i cara. Tam pokazali: jego mama była, no i on sam, jako jakiś żołnierz i tak dalej, i tak dalej. No i wtedy już wszystko było jasne, że to taki tutaj nasz dowódca, taki świetny facet. I ten świetny facet przeleciał dwa razy śmigłowcem, przelatywał, tam w ogóle rejwach się robił straszny. Nie zaszczycił nas swoją obecnością, bo chyba pił z tuziemcami, bo miał swoich znajomych zapewne. I tak jak wspominałem, dopiero później dowiedziałem się, co to za osobnik był. Później jak się zacząłem interesować jakoś historią bardziej. Bo nie wnikałem w to, myślałem, że to jakiś egzotyczny panek sobie lata. Dopiero właśnie w lipcu zaczęły się wypadki na Lubelszczyźnie i nam szybko ten rejwach cały zwinęło. Zostały wstrzymane przepustki. Ja strasznie chciałem przyjechać do Białegostoku i nie mogłem. Bo głośno było nie o Gdańsku, głośno było o Lublinie.

Głośno było w tym sensie, że ludzie... Myśmy mieli strasznie zły kontakt z ludźmi, nie było... W tym sensie, że komunikacji nie było takiej, że... Gdzieś tam, ułamki. Powiem taką ciekawostkę: razem ze swoim serdecznym kolegą, Krzyśkiem Żelaznym ze Śląska... To było tuż przed stanem wojennym, przychodziła do nas dziennikarka, nie wiem, kto, nie pamiętam. Jego mama, Krzyśka Żelaznego, pracowała w aptece w Katowicach i przywoziła nam syrop „Herbavit”, który był spirytusem. Myśmy mieli straszną frajdę z tego tytułu. A później, jak jego mama wyjeżdżała, to przychodziła ta znajoma Krzyśka. I powiem tak: ona, jako dziennikarka, zamiast zajarzyć, że dwóch wojaków nie ma pojęcia, co się na świecie dzieje, bo i skąd, ona próbowała się dowiedzieć, co się na jednostce dzieje. A co myśmy mogli dla niej powiedzieć? Nic ciekawego nie było. I nas krew zalewała. Bo piąte przez dziesiąte myśmy coś wiedzieli. Ta polityka, która wchodziła... Oficerowie polityczni, oni jakby... Nie wiem, dlaczego, ale nie było takiej propagandy nachalnej. Żadnej nie było. Teraz na przykład propaganda jest lepsza, jest lepiej sformatowana, jeżeli chodzi na przykład o „Gazetę Wyborczą”, nie? To jest majstersztyk w porównaniu z tym, co wtedy było... „Trybuna”? Przecież tego nikt nie czytał. To było pośmiewisko. „Żołnierz Wolności”? Hahaha. „Sztandar Młodych”? No, to już inteligencka gazeta była. [śmieje się]

W wojsku czytało się. Była biblioteka, nawet nie najgorzej zaopatrzona: „Grę w klasy” można było bez problemu ukraść, jak ktoś miał ochotę. Tak. [zamyśla się] Poza tym raczej takie książki... Nie widać było tam, że ktoś świadomie dobiera literaturę. To był kompletny przypadek, widać było, po tym, co tam się... Po tym, co tam wyrabiało się w tej biblioteczce. Fatalnie było z czasopismami. Techniczne jeszcze jako tako. Był kiosk „Ruchu”, który był w ogóle nie zaopatrzony. A ja jestem zjadaczem czasopism, ja jestem wielbicielem namiętnie pism technicznych. Nie wielbicielem, ale fanem i wyznawcą, szczególnie polskich. Cierpiałem straszliwie, bo ja muszę czytać wszędzie. Znaczący w łazience, wszędzie... Tego nie widać, bo dziewczyna posprzątała, ale mam wszędzie gazety. W sypialni leżą militaria, bo ja potrzebuję... To jest fizjologiczne jakby, nie? I to już u mnie było od małego. O! Należałem do biblioteki publicznej, to organizacja, do której należałem i w której czynnie... Bo dla mnie to było święto. Raz w tygodniu dostawałem pieniążki na ósemkę i jechałem do... Przy kościele fary była biblioteka publiczna, tam oddział dla dzieci i młodzieży był. I miałem tą radochę, że dostawałem podwójną działkę, dlatego, że mój brat też był zapisany, starszy, ale on nie jeździł. Mogłem sobie książeczki jego odebrać, bo ani chwili czasu się nie uczyłem, tylko czytałem. Uważam, że to była najlepsza organizacja, do jakiej należałem w tym okresie, kiedy PRL.

W wojsku czytałem... To tak, jak z tego tekstu z „Rejsu”, że człowiek lubi tą muzykę, którą zna, te piosenki. Ja wtedy byłem wyznawcą fanatycznym „Paragrafu 22” i Lema jeszcze. Masę Lema czytałem, „Cyberiadę”, no, tam jakieś analogie znajdowałem. Ja nie wiedziałem, że Lem taki generalnie apolityczny, a nawet lewacki jest, nie? Ja sobie go inaczej odbierałem. W swój sposób. I mój Lem jest trochę lepszy niż oryginalny. [śmieje się] I powiem, że tak: Lem był na pewno, na pewno Heller. Co tam jeszcze było... Ja pamiętam, że wtedy też miałem taki okres, kiedy z Bruzdą się zetknąłem, przez zupełny przypadek. Miałem kumpla, który poezją się interesował w wojsku i gdzieś tam sobie znalazłem parę rzeczy, które mi się strasznie podobały. Nieprawdopodobnie, do dzisiaj znam wierszyk, który... Aha i pierwszy raz spotkałem się wtedy z Cohenem, proszę sobie wyobrazić. Przywiezionym. I tam też, powiem jako ciekawostkę: pierwszy raz w życiu oglądałem film pornograficzny na terenie jednostki MSW. W tajnym gabinecie, w którym były... Całe Śródmieście Warszawy odwzorowane w jednym z pokoi... Nie pisało tam „tajne”, więc mogę... Poza tym gwizdzę na to, bo nikt mnie nie przeprosił za stan wojenny, kiedy mnie przetrzymywano w tej jednostce. A poza tym ona jest nieważna, bo składałem przysięgę dla jakiejś zupełnie dziwnej organizacji. Tam właśnie był magnetowid, taki przedziwny, który obsługiwał nieprawdopodobny facet, kompletnie... Że też ludzkość takie osobniki wydawała... Nie wiem, skąd on... Prawdopodobnie ktoś przywiózł. I tam właśnie na magnetowidzie był nagrany „Dziennik Telewizyjny” i ten film pornograficzny. Myśmy w ogóle byli zafascynowani nie tyle tym filmem, co tym, że jest urządzenie, które pozwala na odtwarzanie i rejestrowanie obrazu, to było interesujące. Także doznania kulturalne... No, pomijając koncerty, bo były takie koncerty, gdzie przyjeżdżały jakieś takie jednostki, wymundurowane chóry, tam piosenki śpiewali.

Ciężko było z wiadomościami. Rzetelnych wiadomości to tyle, co człowiek od rodziny się dowiadywał. Przy okazji przepustki. Ale to też jakby nie dotyczyło głównego nurtu, bo człowiek przyjeżdżał, te przepustki bywały krótkie, rozmawiało się o polityce. Teraz, z dystansu oceniam to, że była bardzo powierzchowna orientacja, jeżeli chodzi o to, co się naprawdę działo w kraju, o to, kto, gdzie i kim rozgrywa. Natomiast w samej Warszawie, no, to kompletnie... To było straszne. Bo myśmy widzieli, że naokoło coś się dzieje. Polityczni w ogóle jakby nie zainteresowani... Nawet jeżeliby coś mówili, to... Ale widać byłoby, że próbują coś odwrócić, to by coś, jakaś wskazówka była. Tak kompletnie nic nie było. Oni jakby olali w ogóle, jeszcze szczególnie w tym okresie najgorętszym. I myśmy nie mieli pojęcia, co się generalnie w Polsce dzieje.

Myśmy wiedzieli, że ludzie strajkują, że nic nie ma. W sierpniu, kiedy już to legal weszło. Bo przedtem, to tylko podwyższony stan gotowości i nie wiadomo było w zasadzie, o co chodzi. Nawet nie wiedziałem, co to jest stan gotowości bojowej. Myślałem, że takie pojęcie, bo tam... Jak się do wojska przyjdzie, to jest dużo tych różnych rzeczy, co oni tam robią: podwyższony stan gotowości, to trzeba do kąpieli iść. I ja myślałem, że to jest jedna z kolejnych... Okazało się, że to nie jest takie coś, co dzieje się co tydzień, czy co miesiąc, tylko, że to zdarza się rzadko. Ale później to już niezmiernie często był ten stan gotowości. Aż do momentu kiedy... Powiem tak: według mnie taki prawdziwy stan wojenny rozpoczął się nie 13 grudnia, a na początku grudnia. Takim przełomowym momentem... To było porażające dla mnie doświadczenie, kiedy widziałem Warszawę... Ja nigdy nie przepadałem za Warszawą, to takie miasto było dla mnie zupełnie obce, chociaż miałem przyjaciół tam bardzo bliskich. Była akcja ze Szkołą Podchorążych, to dla mnie było przygnębiające, ja nie rozumiałem, po co przyleciało wojsko, przecież tam ludzie czegoś chcieli... Okazało się, że przyleciały śmigłowce, zrzucili tam tego bandytę jakiegoś komandoskiego... Jakiegoś takiego Bruce’a Lee komunistycznego i on tam porządek zrobił, nie? I zaraz później, to rzecz



jakby taka... Przechodzi mimo. Dla mnie to było porażające, to był pokaz siły. Wojsko wyjechało... To było bodajże... Albo w piątek... Po południu. Wtedy nic w sklepach nie było, ludzie byli umordowani, sytuacja była taka napięta dosyć, bo tam już te historie były gdzieś w Bydgoszczy, jakieś taśmy przenikały. Myśmy o tym wiedzieli, myśmy też za bardzo nie wiedzieli co się dzieje, czy może oni będą chcieli się strzelać, czy lać, to wszystko było już podkreścone. Ta sprężyna, ten bębenek już tam ostro grał. I w tej sytuacji wyjechały ciężarówki, a to było przed stanem wojennym jeszcze, przed ogłoszeniem. Ciężarówki sznurem przez Śródmieście Warszawy. Jak zobaczyłem, to po prostu mi... Zdębiałem. Po prostu postarzałem się wtedy. To był sznur samochodów, które jechały jeden za drugim, jeden za drugim. Ciężarówki, chyba wszystkie ciężarówki ze wszystkich jednostek wojskowych w Warszawie i w okolicach wzięto, ustawiono je ciągiem i przepuszczono przez Warszawę. I to było nieprzypadkowo zrobione w takim okresie, jak ludzie wracają z pracy, więc musieli stać w korkach i czekać, oglądać to wojsko, jak ono przejeżdża. Te, które od nas z jednostki wyjeżdżały, miały po trzech, czy po sześciu żołnierzy usadzonych z tyłu i oni siedzieli z bronią, a bez amunicji. Ale to robi wrażenie. To wyglądało na koncentrację sił jakichś nieprawdopodobnych. Nie wiedziałem po co to było robione. Bo wzięto wszystko, co jest na jednostce, wszystko. Kto był wolny, to do tych ciężarówek. To były takie ruchy, które jakby... Jakieś tam doświadczenie miałem w tym wojsku będąc kancelistą i wiedziałem, że są pewne rzeczy, które nie są praktykowane na co dzień. I to była właśnie taka rzecz, która była w ogóle dla mnie niepojęta, skąd to się wzięło. A później to już ciągiem poszło: w nocy, tuż przed samym... A doskonale pamiętam to, no, bo to był naprawdę wyjątkowy wieczór, już się koło dwunastej w nocy coś zaczęło dziać, bo gdzieś tam naszych pozabierali, tych, którzy wartownikami byli, gdzieś tam wojsko zginęło...

Malowałem obrazki. Takie na przykład: górską chatę i dwa strumienie, niezwykle piękne rzeczy, muszę powiedzieć. I przy okazji liternictwo i takie rzeczy manualne miałem wyrobione. I miałem kumpla, Jarka Kocyłę, który był kancelistą przede mną. Myśmy się doskonale dogadali, on powiedział, że „teraz będziesz miał dobrze” i on mnie jakby pokierował, żebym został w kancelarii. I w ten sposób właśnie zostałem kancelistą. Dobrze trafiłem, bo byłem pisarzem u szefa służby inżynierskiej, tak, że tam niedużo pracy było, takiej jakiejś kancelaryjnej, dużo miałem jakby wolnego czasu. I tu jak wyprodukowałem się, to zacząłem sobie strugać z drewna model. Myśmy tam cuda-wianki robili. Mam kolegę serdecznego, on teraz w Chicago jest, Jurka Stachijuka, który plastik jest. Myśmy tam używali sobie w tej kancelarii, cuda-wianki tam żeśmy robili. Przepiliśmy buty, a wesoło było... Naprawdę było fajnie. Znaczący w tym sensie, nie w wojsku, tylko po prostu chodzi o relacje między ludźmi, że w takim czymś można było też przyjaźnić się. Zresztą tam sporo było takich przyjaźni, takiego właśnie azylu. Człowiek próbował sobie to jakby zainstalować w sobie. Bo tak jak wspominałem, to, co się działo poza, to było... Dla mnie to było w ogóle bardzo ciężko zrozumieć, co się generalnie dzieje.

Jak się stan wojenny rozpoczął, to była kompletna jakby czarna dziura. Bo zostały wstrzymane wszystkie wyjścia, wszystkie przepustki. Myśmy nie wiedzieli co się konkretnie dzieje nic. Przyjechały wozy pancerne, bo u nas na jednostce wozów bojowych nie było. Pierwszy moment, kiedy to faktycznie było koszmarne, kiedy telewizor był włączony na okrągło i tam generał opowiadał te historie, że czemu on tak zrobił, a nie inaczej. Proszę sobie wyobrazić coś takiego: w domu wiadomo, jest blokada informacyjna, ale widać: na ulicach nie strzelają, gdzieś tam człowiek siedzi, jakaś poczta pantoflowa jest. A tam żadnej poczty pantoflowej nie było. Rano pojechali pojechali żołnierze do Siekierok po ostrą amunicję. No to się włosy zaczęły jeżyć. Ja myślę, Chryste Panie, o co chodzi, co tu się dzieje, bo tutaj stan wojenny, tutaj pojechali

po amunicję ostrą. Oficerowie, którzy przyszli, bo oni mieszkali w pobliżu jednostki, oni nocowali na tej jednostce, równie byli zdezorientowani. To był kompletny taki kopniak jakby, gdzie było brak informacji. Później były odprawy, na które oni pochodzili, gdzieś tam, w sztabie. Pisarz do tego nie miał dostępu. Myśmy tam próbowali zdobyć jakieś informacje, ale to bez sensu zupełnie było. No i libacje, bo oni później zaczęli pić, bo mieli chyba przydziały, czy coś takiego.

No i naraz później, bardzo szybko, okazało się, że... Ja myślałem, że sytuacja w Polsce się poprawiła. To były okolice świąt. Chodziłem odbierać dla swojego szefa rzeczy, bo wiadomo, że on pisarza wysyłał. Wysyłano funkcyjnych po jakieś tam deputaty, po różne rzeczy. Wtedy po raz pierwszy zetknąłem się z produktami zachodnimi. Myślę sobie: ten stan wojenny to nie jest taki głupi wynalazek, skoro oni dostają tutaj jakieś konserwy, jakieś tam historie. To wszystko z zagranicy pochodziło. Dopiero później dowiedziałem się, że to były po prostu prawdopodobnie dary, bo chyba nie kupowano ich w „Peweksie” dla oficerów. [śmieje się] Ja myślę: Chryste Panie, coś drgnęło, ten Jaruzel coś robi chyba. Ale to było bardzo krótko. Się zaczęła wtedy kupa różnych historii związanych ze stanem wojennym. W jednostce to wyglądało tak: przyszła wigilia, wyjść nie ma. Wojsko to wojsko, część ludzi miała... Bo jesień... Która miała wyjść jesienią, czyli przed stanem wojennym, oni zostali zatrzymani. Została przedłużona im służba, bezterminowo. Nikt nie wiedział, na ile. Myśmy byli wściekli, bo byliśmy następni w kolejności. Okazało się, że nie wiadomo, kiedy wyjdziemy. Już to było nerwowe. No i nastąpiło takie rozprężenie, bo ci którzy mieli wyjść, a nie wyszli, byli trzymeni, zaczęli olewać wojsko. Nikt chyba z tych... Z tych ludzi odpowiedzialnych w wojsku za taki stan rzeczy nie przypuszczał, że... Na czym polegało olewanie, czyli na przykład nie wykonywanie pewnych podstawowych rzeczy, które świadczyło o tym, że się rozpręga ta cała historia z dyscypliną. Więc jakieś dodatkowe godziny musztry, żeby to przyporządkować, jakoś uładzić. Ta musztra słaba była strasznie. No, więc wtedy zaczęto kokietować dla odmiany. Filmy wyświetlane były na stołówce zazwyczaj i to dobre filmy. „Czasu apokalipsy” nie oglądałem co prawda, ale „Żądło” było na przykład, pamiętam. I to było na stołówce oglądane, w ogromnej sali, a wtedy pamiętam, że pozwolono oglądać... Przy kasynie oficerskim była sala kinowa.

Stan wojenny się rozpoczął w osiemdziesiątym pierwszym roku i zostało wszystko jak gdyby ucięte. To już nie było takie wojsko, jak kiedyś. W mojej sytuacji to po prostu wyglądało tak, że nie było żadnych wyjść, bardzo utrudniony był kontakt zewnętrzny. Nikt nie czytał tej prasy, nawet ludzie, którzy może ideologicznie byli zainteresowani też nie czytali, bo ona była nędzna najzwyczajniej w świecie. No, po prostu to był koszmar. Wydarzenia, które działy się w kopalni „Wujek” to był jakiś taki pogłos przedziwaczny, że tam górnicy wychodzili... Jakaś plotka, że oni jakby zainicjowali to wszystko, że tutaj nastąpiła reakcja na to. Że to nie było tak, że... To było coś w rodzaju plotki takiej. Gdzieś tam na palarniach. Bo gdzie wojsko wymienia informacje: na sali. Na sali lipa się nie przebija, bo sami swoi są, latami się człowiek zna, no, dwa lata. A palarnia to jest miejsce, gdzie przychodzą... Palarnia to jest cztery, czy trzy kompanie na przykład w wypadku MSW. I jedno miejsce do palenia papierosów. Tam różni ludzie siedzą: ktoś dowcip opowiada i różne się rzeczy... Może nawet, ja z perspektywy czasu myślę, że można było inspirować pewne rzeczy, jakby dopuszczać do obrotu. Bo żadna inna chyba metoda by nie przechodziła. Bo w jaki sposób informacje wprowadzać? Ani rozkazem, ani tym, co w telewizji, bo telewizja uboga, tak, że może jakąś tam propagandę próbowano skuteczniać. Ale ona nie miała racji bytu, z bardzo prostej przyczyny: ludzie widzieli, co się działo w Szkole Podchorążych, widzieli to. To było z góry skazane na niepowodzenie, bo był jasny przekaz. Widziałem na własne oczy, więc co mi będziecie opowiadać. Poza tym nasza jednostka to nie była jednostka, gdzie była

dystrybucja alkoholu, czy też jakieś specjalne przywileje. Ona była MSW, ale to była zwykła jednostka wartownicza, nie było jakichś tam specjalnych ceregieli związanych z tym, że to podlega Milewskiemu, czy tam później chyba już jakiś inny nastąpił minister. Dopiero później zajarzyłem, że ZOMO i nasza jednostka to jest MSW. To jest MSW! Dosłownie ten sam resort. Dla mnie się zrobiło nijak, ja dlatego później, po wyjściu chciałem to jakoś odreagować. Z perspektywy czasu to wydaje się śmieszne, nie? Bez znaczenia. A dla mnie wtedy miało znaczenie, że to byłoby identyfikowane. Nie chciałbym tak być identyfikowany.

Takie coś, co bardzo mocno pamiętam, to... Wojsko nigdy nie było nadzwyczaj religijne, natomiast jak dwudziestego czwartego, w Wigilię, na apelu powiedziano, żeby żadnych nie robić manifestacji, żadnych śpiewów wspólnych i tak dalej. Wtedy myśmy poczuli, że tutaj możemy coś jakby... No, nikt nie mówił nic nikomu, żadnych historii nie było, „słuchajcie, zbieramy się”. Absolutnie. Już na stołówce zaczęto śpiewać kolędy... Za stołówką, przepraszam. Bo tam, no, oficer... Jest ciemno, raczej by się wolał nie zapuszczać chyba. A po godzinie dwudziestej czwartej, kiedy pasterka była, to całe wojsko śpiewało kolędy. Na to są półtora tysiąca świadków. Bo to była cała jednostka, jak jeden mąż, nawet może i ateści śpiewali wtedy. Wtedy tak poczułem się... Poczuliśmy się normalnie. Pomimo tego, że nie byłem takim człowiekiem... No, byłem młody też po prostu. Ale wtedy zrozumiałem, jak ważna może być wiara. Jak istotna i jak w takich momentach może pomóc. To jest to, czego dzisiaj młodzi ludzie nie dostali, kiedy czasami mogą zwątpić, czy coś przeżywają. To była taka trauma i w tej traumie okazało się, że taka bardzo prosta rzecz, która zawsze funkcjonowała w domu, kiedy jest wigilia, kiedy jest pasterka, nie? I kiedy jedna kolęda może w życiu tak mocno zadziałać. To nie było jakieś takie silne patriotyczne doznanie. Nie, to była bardzo prosta taka... Takie przeżycie. Okazało się, że pomimo tego wszystkiego, pomimo takiego niesprecyzowanego bałaganu, w tym wszystkim jest coś jeszcze. Coś wspólnego, że nie jesteśmy pognieceni tacy zupełnie, w ogóle. I wtedy już inaczej było. Wtedy zacząłem inaczej na wszystko patrzeć, zmienił mi się jakby zupełnie punkt widzenia. Do tego momentu to było spontaniczne, to nie było inicjowane, tu nikt nic nie robił kompletnie. Tylko dlatego, że powiedziano nam, żeby nie śpiewać, żeby żadnych manifestacji nie było. Wtedy doszedłem właśnie do wniosku, że niedobrze się dzieje. Ale jeszcze nie miałem takiego autentycznego mocno punktu widzenia, bo nie wiedziałem po prostu, co się dzieje. Nawet nie byłem specjalnie zainteresowany, żeby kogokolwiek krytykować. Wiedziałem na pewno, że były błędy, wiedziałem, że... Po prostu bolało mnie to, że nie mogę książek kupować. Teraz to się wydaje nieprawdopodobne, ale jak można było rzeczy zdobywać albo załatwiać. No, to do niczego nie było podobne.

W osiemdziesiątym drugim roku zasadniczo to był okres bezczynności dla tych, którym przedłużono służbę. Być może potrzebowali więcej wojska, które jakąś wprawę ma. Nie wiem do czego, mogę się tylko domyślać. Ale nie zastosowano tego ani razu. Próbowano dyscyplinować to wojsko lub też organizowano kursy jakieś dziwaczne. Na stadionie na przykład biegaliśmy. Bo nie dość, że fajki kurzyłem jak diabeł tasmański, to biegaliśmy z kumplem nie wiadomo po co na stadionie wieczorem. Można było. Nam zabrano taką tradycyjną wojskową radochę bycia rezerwistą, gdzie oni te metrówki... Ja do tego nie przywiązywałem wagi, nigdy, ani do chust, ani do tych metrówek, bo produkowałem je. [śmieje się] Także to akurat zupełnie inna bajka. Ale nie było czegoś takiego... Pamiętam, że kiedyś z namaszcczeniem oni te wyrwali te centymetry, oświadczyli, ile tam zostało im do końca. A tutaj okazało się, że to wszystko jest bez sensu. Ja byłem w tym czasie, kiedy okazało się, że ta metrówka nie ma sensu. Bo jest zawieszona. Nikt nie był w stanie powiedzieć, kiedy my wyjdziemy. Taki cyrk na kołach

wyszedł, bo myśmy się dowiadawali, że: „Może na zostaniemy na zawodowych? Chcecie, żebyśmy podpisali?” To już było... Jechało po prostu po bandzie. Miesiąc gdzieś przed wyjściem dopiero dowiedzieliśmy się, że w lipcu wychodzimy. Że nastąpi ten jakby akt łaski z ich strony, że w końcu nas wypuszczą. Okres kompletnego zawieszenia. Nie wiadomo było za bardzo, co my za wojsko jesteśmy. Rozprężenie dyscypliny na maksa. Graliśmy w karty bez żadnego problemu, tam dosłownie mafijne układy się zaczęły robić, bo się z nudów w nocy... Nabory przychodziły, było dużo wojska, a z drugiej strony byli starzy. Myśmy chodzili jak dziady kalwaryjskie. Mieliśmy telewizory, co było niedopuszczalne, radia jakieś tam własne. Po prostu cuda się działy. Rozprężenie było, a próbowano też z drugiej strony dyscyplinować, jakieś wariackie historie, wywożenie na jakieś strzelania bezsensowne. Widać było, że oni nie są przygotowani na to. Nie mieli planu działania na stan wojenny. To był taki okres, kiedy myślałem, że mnie krew zaleje. Bo mnie dwa razy krew zalewała. Jak siedziałem później, w czerwcu, kiedy mnie na tymczasowy areszt... Po wyjściu z wojska marzyłem tylko o jednym: żeby spędzić maj, czerwiec, taką wiosną, na luzie, w cywilu. I mnie później też aresztowali w następnym roku i myślałem też, że mnie krew zaleje, tylko z innego tytułu.

W wojsku to mnie tylko raz grachnęli za długie włosy. To była taka w sumie nic nie znacząca przygoda. Ponieważ byłem kancelistą, więc się ukrywałem, praktycznie starałem się w ogóle nie wychodzić na jednostkę. Siedziałem w kancelarii, słuchałem radia, gdzieś tam jakieś książki miałem. Taki zeszyt sobie założyłem, jeszcze przed wyjściem... Jeszcze przed pójściem do wojska chciałem zbudować łódź, jacht. Postanowiłem zaprojektować go sam. Naczytałem się w ruskich... W rosyjskich gazetach, że można z betonu łodzie budować albo cementu. I w klubie w Białymstoku tuż przed pójściem do wojska byłem na spotkaniu z człowiekiem, który zbudował taką łódź. Jak już do wojska szedłem, to sobie przygotowałem taki zeszyt, mam go do dzisiaj i w tym zeszycie były podstawy projektowania i budowy jachtu. Ja tam sobie chciałem ten jacht od zera wymyśleć. No i twardo z tym tematem jechałem, ale później jakoś mi to odeszło. Nie strzygłem się, starałem się po prostu unikać... Myślałem, że lada chwila wyjdziemy, nie chciałem z krótkimi włosami wyjść. No, ale pomimo tego, że byłem starym pisarzem i miałem już swojego następcę, trzeba było raporty czasem do tajnej kancelarii czasami zanosić. Raporty to jest taki formularz, który się raz w miesiącu wypełniało i się kalkowało sprzed dwóch lat, czy sprzed trzech, żeby była różnorodność. Wszystko flamasterkiem napisane, chorągiewki, tutaj takie, tu czerwono, bardzo to naprawdę pięknie wyglądało. [śmieje się] A ja wiedziałem, jak to zrobić, żeby było ładnie... Na tym to polegało. I tak się złożyło, że musiałem sam pójść. U nas politycznym był niesamowicie ostry człowiek. To był podpułkownik, którego nawet dowódca jednostki się obawiał. To był facet, który był odpowiedzialny za masę jakichś nieciekawych historii na jednostce. I żołnierze zasadniczej służby też obawiali się go nieprawdopodobnie, bo facet był po prostu nieprzytomnie nieprzyjemny. Nieprawdopodobny służbista w dodatku. I właśnie miałem tą nieprzyjemność, że pod kancelarią mnie zdybał. W życiu bym nie pomyślał, że mnie trafi łajdak. Zdybał mnie i udało mi się go wywieść w pole, bo okłamałem go. Powiedziałem mu, że jestem pisarzem, ale z innej kompanii. A on mnie zrugął i kazał zameldować się do niego mojemu dowódcy. Powiedziałem, że „rozkaz”. Poszedłem sobie na jednostkę, lekceważąc go sobie i przypuszczając, że on to spuści z wodą. Okazało się, że nie, bo po południu on zaczął tam poszukiwania tego pisarza. Ale nie znalazł. Jest dwóch pisarzy: stary pisarz i młody. Młody pisarz to jest ten, który się sposobi, a stary pisarz, to w tym wypadku byłem ja. Jak był apel, a on chciał pisarzy zobaczyć, ja powiedziałem do młodego: „idź, pokaż się, człowieku”. I on poszedł, zameldował się, i wszyscy pisarze byli. Oprócz starego, czyli w tym wypadku mnie. Później miałem okazję go jeszcze

zobaczyć w świetlicy i pewnie mnie poznał, ale to już było wyjście. Był koncert z okazji naszego wyjścia. Jakies nagrody rozdawali tym różnym ludziom za różne zasługi, więc tam wszystkich tych chłopaków, którzy wychodzili z roczników zatrzymanych zgromadzili. I oni tam sobie gratulowali, dostawali zegarki, co poniektórzy, było bardzo sympatycznie. Wtedy on zobaczył mnie, ale to był ostatni dzień, to co on mi mógł zrobić. Pewnie jakieś sankcje by mnie spotkały za te włosy, ale tak, to już było po ptakach.

Wyszedłem z wojska, no i postanowiłem... Trochę wróciłem do dawnego życia. Podjąłem pracę w firmie, w której była praca, bo chciałem mieszkanie dostać. W spółdzielni mieszkaniowej, pracowałem na stolarni. Tam poznałem parę osób, zaprzyjaźniłem się z nowymi ludźmi, odświeżyłem stare znajomości. I tak sobie tutaj po starosielsku, powolutku żyliśmy. Tutaj nie było takiej działalności... No i przytrafiło się nam coś takiego właśnie, gdzie... Trzeciego maja w osiemdziesiątym trzecim, tak, to papież przyjechał w osiemdziesiątym trzecim. To było po trzecim maja. Dokładnie pamiętam, bo trzeciego maja myśmy albo flagę gdzieś zawieszali... W kwietniu była rocznica katyńska, którą myśmy próbowali wyegzekwować na asfalcie w jakiś tam sposób. Z tym, że „my” mówię w sensie towarzyskim, to nie była żadna organizacja. Czy nie było to w sensie takim, że były jakieś struktury, w których ktoś coś mówił, tylko myśmy się dogadywali, bo było dość sporo ulotek... Andrzej Czech, mój kolega, który aktualnie w Kanadzie jest, Jacek Mystkowski. Było nas paru takich. Tam jeszcze ten Rysio się przewijał, który fotografem był, on z doskoku. Myśmy się nawzajem wspierali wydawnictwami jakimiś. Pamiętam, że z NOW-ej, z Oficyny Wydawniczej NOWA jakieś rzeczy były, miałem Sołżenicyna, „Archipelag Gułag” zacząłem czytać. Dużo informacji, dużo biuletynów informacyjnych dotyczących sytuacji na bieżąco. I oprócz tego to, co generalnie w obiegu było. Poza tym, to wtedy zacząłem się muzyką interesować, tą taką, która w kraju jest. Jak byłem w wojsku, to byłem na koncercie... To było na „Torwarze”, to była taka kapela „Tangerine Dream”. Tylko ja nie pamiętam, czy to w wojsku, czy... Bo mnie się to wszystko, troszeczkę... Tam był Klaus Schulze, taka muzyka elektroniczna. Miałem taki kawałek tego. A później doszedłem do wniosku, że to komercha, bo zacząłem słuchać „Tiltu”, a później dowiedziałem się, że stary Lipińskiego to ten Eryk Lipiński, to lewak, no i... Okazało się, że to wszystko jest... To jest kłębek. Zaczęło mnie to mierzić po prostu. No i zacząłem Ewy Demarczyk słuchać. [śmieje się] Doszedłem do wniosku, że gwizdać na to wszystko.

To było tak, że kwiecień, to przeważnie lot, kurcze, tego Gagarina był. Bo to jeszcze się bardzo... Myśmy chcieli, żeby... Boże kochany, jak to mam powiedzieć... Szczególnie w Białymstoku to jest skomplikowana sytuacja. W tym sensie, że tutaj na przykład AK bywa pojmowane w niektórych środowiskach jakby różnie. Nie chcę powiedzieć dyskusyjnie, ale różnie. Tak, jak wspominałem na przykładzie własnej rodziny, też różnie bywało. Dobrze jest pojmować różnie, nie? Ale być świadomym tego, że jakieś pojęcie w ogóle istnieje. A jeżeli chodzi o Katyń, tam była sprawa dosyć jednoznaczna, jasna. Bardzo jednoznaczna sytuacja: jest Katyń, o tym się nie mówi, więc tutaj chcemy zaakcentować, że ta rocznica jest. No i trzeciego maja, które było zaraz po pierwszym maja. Wiadomo, że był w zakładach pracy ten przymus, żeby chodzić na pierwszego maja, więc człowiek mówił: o, trzeciego maja wyjść, kurcze, żeby... Myśmy chcieli namalować na drodze wyjazdowej farbą „Katyń” i datę. I próbowaliśmy... Bo problem to był dojazd. Wtedy ta droga, która jest teraz zabudowana zakładami przemysłowymi, ona była kompletnie niezabudowana, była łyśa. Chodziło o to, jak by to sprawnie przeprowadzić, bo trzeba było szybko napisać... To trzeba było przetrenować na czymś, nie? Samo wykonanie napisu. A później się zastanawialiśmy nad tym, czy to w ogóle będzie widoczne i jak to napisać. Bo samochody jadą w ten sposób i w ten. Jak to

napisać tak, to będzie mały napis. Niknie i nic więcej. A jeszcze wypadków narobi. I tak żeśmy kombinowali, jak konie pod górkę. Problemów było tyle, że w końcu nie doszło to do skutku generalnie. Myśleliśmy o tym, żeby na przykład na trawnikach wysiewać trawą napisy i wtedy trawa ta by rosła gęściej w tych miejscach. Po dwóch, czy trzech miesiącach na Sienkiewicza, powiedzmy, tam pod komendą jakiś gustowny napis w rodzaju „świnie”, czy tam jeszcze... Ale to też bezsensowne było. Myśmy takie sobie różne rzeczy roili, natomiast nie przynależeliśmy do żadnej organizacji. My byliśmy z niczym niezwiązani kompletnie. Nigdy i nigdzie.

W taki właśnie, nigdy i nigdzie, taki dziwny, przypadkowy sposób trzeciego, czy czwartego... Wtedy w „Zachęcie” pracowałem, w stolarni, panowie przyjechali. Wtedy już coś się działo. Moi rodzice przeczuwali, mówili, że całą noc pies czekał. Myślałem, że to są zawodnicy, którzy chcą jakąś lewiznę zrobić. Bo do stolarni przychodzili pacjenci, którzy robili albo jakieś meble, albo coś. Z tym, że ja nie byłem decydem, tam był taki chłopak, który był starszy stażem i pracą. Okazało się, że to nie są panowie od tego. Oni mówią, że chcieli zobaczyć szafki, od razu obejrzeć i tak dalej. I po prostu okazało się, że to jest milicja. Ja nawet nie wiedziałem, co to jest. Czy to są z UB, czy SB. Mi to tam, szczerze mówiąc, zwisało i powiewało. Znaczący, miałem obawy, co do tego, o czym wspominałem: ponieważ interesowałem się również militariami... A to był taki czas, że człowiek różne rzeczy miewał, nie? Nawet rodzice nie wiedzieli. Mogłem mieć wątpliwości, ale jeszcze nie wtedy, jeszcze nie w firmie. Myślałem sobie, że po prostu szafki przeglądają, jakąś tam procedurę robią, czy coś. Znaleźli jedną, czy dwie ulotki. To jest nic. No, okazało się, że pakujemy się do fiata. Zaprośli mnie. Jedziemy do domu. W samochodzie zaczęła się rozmowa na temat tego, że już im wszystko jest jasne, oni doskonale wiedzą, co ja w pracy robię. Ja lewizny żadnej w pracy nie robiłem. Oni między sobą i ze mną niby rozmowę prowadzili. Ja nie za bardzo zdawałem sobie sprawę, jaka jest moja funkcja, do czego ja im jestem potrzebny. I tylko tak myślałem sobie: gdzie oni będą w domu szukać? Tutaj mieszkali rodzice, mieszkali brat z bratową i mój młodszy brat. Myśmy razem mieszkali, w kupie. Ojciec, jeszcze wtedy i dziadek. Oczywiście to się tam nie odbywało tak gładko, jak oni sobie wyobrażali, bo musieli świadków brać, rodzice ich poustawiali, bratowa powiedziała nie, bo to jest jej mieszkanie. Znaleźli jakiegoś orzełka z koroną. I w zasadzie nie mając nic zadecydowali, że zabierają mnie na 48 godzin.

Jak jechaliśmy, cały czas była taka rozmowa, która wskazywała na to, że... Wydawało mi się, że ktoś z pracy mnie wysmalił. Takie odniosłem wrażenie. Jak przyjechaliśmy na miejsce, zaczęło się przesłuchanie, zobaczyłem kolegę z osiedla i dowiedziałem się w dziwny taki sposób... Bo tam było na zasadzie: dobry policjant, zły policjant. Dowiedziałem się, że mój najlepszy kolega został aresztowany przeze mnie. [milczy] I się zrobiło mi gorąco. Bo ja rozmawiałem o polityce w pracy tylko z jednym człowiekiem. I byłem po prostu przerażony, tym bardziej, że to był człowiek... Bo ja byłem kawalerem, a to był człowiek żonaty, on miał dziecko. Bo Jacka widziałem przez chwilę, przez ułamek drzwi, w sąsiednim pokoju... Jacka, mojego kumpla. Jednego z kolegów. Dowiedziałem się wtedy, że już w firmie wszystko jest jasne, ludzie z firmy wszystko powiedzieli, nie ma tutaj co się szczypać. „Tutaj Andrzej Czech, ty i Jacek Mystkowski załatwiłście sprawę, chcieliście rozpowszechnić, propagować treści” i tak dalej Jakieś zarzuty. Ja już tego nie słyszałem, tylko byłem przerażony. Bo z jakiej paki Andrzej, który jakby nie...? I tak zastanawiałem się, kto mógł porutę zrobić? No i doszedłem do wniosku, że to człowiek, który poruty nie zrobił. Nie wiedziałem, że sprawę poprowadzono w ten sposób, że... Nie chciałbym nikogo oskarżać. Ale człowiek, którego próbowałem ochronić w następnym dniu był na wolności. Byłem przekonany, że to sypanął kumpel z pracy, z którym rozmawiałem. I powiedziałem... Całą winę na niego

posypałem. W pracy mnie aresztowali, byłem przekonany, że to facet z roboty mnie posolił. Znałem go krótko, rozmawiałem o polityce. Andrzeja znałem od szóstej klasy szkoły podstawowej. Andrzeja, Jacka... I widziałem, że obydwaj siedzą. Facet powiedział: „jak możesz tak robić, ten człowiek ma rodzinę. Wszystko wiemy, jest pełna jasność. Nie musisz... Tutaj twoje zdanie niepotrzebne. Ludzie z pracy wszystko powiedzieli. Ty nie jesteś... Nie wyobrażaj sobie...”. Tam masa rzeczy padała, ja byłem wtedy przerażony, bo zdałem sobie sprawę, że spowodowałem to, że aresztowano człowieka, z którym wychowywałem się, który był żonaty, który miał dziecko. Ale nie zdawałem sobie sprawy z tego, że tutaj gra toczyła się jakby zupełnie do innej bramki. Nie wiedziałem o tym. Dopiero po wyjściu, jak papież przyjechał, bo amnestia objęła mnie... Wyszedłem i okazało się, że człowiek... Byłem przekonany, że tylko ja zostałem zatrzymany. Myślałem po prostu, że mnie zgarnęli przez przypadek, czy też coś tam musiało się przytrafić. Natomiast nie byłem... Nie znałem podstaw. Gdybym uczestniczył w jakiejś działalności konkretnej, nie? To miałbym świadomość jakąkolwiek. A tak po prostu byłem zdezorientowany. Jak dowiedziałem się, że Andrzej jest w to wszystko zamieszany i że... Widziałem Jacka, który jakby najmniej... Jacek, który praktycznie nie brał udziału za bardzo. Jacek interesował się muzyką, na perkusji grał, o, takie różne historie. „Kasa chorych” była i tam myśmy chodzili... Nie byłem świadomy tego, że to nie jest tak, jak ja założyłem. Te moje założenia były fałszywe. Nie chodziło o Andrzeja, absolutnie. Dopiero się dowiedziałem o tym wszystkim, jak wyszedłem.

Zostaliśmy zatrzymani, zarzutów nie postawiono. To była cały czas sankcja. Po rozmowie z panią prokurator Piotrowską ona doszła do wniosku, że jestem szkodliwy i tak dalej. I zostałem w więzieniu. Znaczący w areszcie śledczym. Nie wiedziałem kompletnie, co się dzieje. Cały czas byłem przerażony, bo sobie pomyślałem, że nie będę mógł spojrzeć w oczy rodzinie Andrzeja. Że naraziłem go na coś takiego, przez ulotki. Bałem się, że coś może w domu znalezione, a okazało się już po 24 godzinach, że nic nie znalezione. Powiedzmy, gdyby z tego drugiego zasobu, kryminalnego bardziej, gdyby coś... W tym sensie, powiedzmy, militaria jakieś, nie? Gdyby coś takiego znalezione, nie? To byłaby zupełnie inna sprawa, podejrzewam, że jeszcze gorsza. Ale nic, dzięki Bogu, z tego tytułu się nie przytrafiło. Tutaj natomiast rzecz działa się tak jakby... Nie miałem w ogóle informacji, żadnej. Kompletnie. Poza tym pierwszy raz w więzieniu. To jakieś doświadczenie jest, kiedy jakiś złodziejaszek ze mną siedział. I później jakiś typek z Brańska, który też niby polityką się zainteresował. Opowiadał mi cuda-wianki. Pomoc przyszła od strony kryminalisty, który powiedział: „słuchaj, nie wszystko jest tak, jak sobie wyobrażasz. Spaceruj, podziwiaj Słońce jak możesz, nie? I nie mów za dużo”.

W zasadzie nie miałem nic do opowiadania interesującego. Powiedzmy z tego, co oni tam potrzebowali. Natomiast właśnie było porażające dla mnie to... Nie rozumiałem, dlaczego inni mają odpowiadać za to, co ja robiłem. No i to jest właśnie... To jest koszmar, że facet, który jakby... On szybciotko sprawę rozegrał, nie? Po prostu już na następnego dzień, już był w domu, nie? A ja utopiłem faceta, który o niczym w ogóle nie wiedział. Będąc przekonany, że to on wsypę zrobił, odstrzelił. No i tutaj później to życie u mnie się, takie towarzyskie, na rok czasu zawiesiło.

Oni nas wypuścili z tego tytułu, że Ojciec Święty jest w kraju. To było coś takiego... Wypuszczono nas z aresztu śledczego, natomiast postępowanie cały czas trwało. Powiem szczerze, że ja nie za bardzo wiedziałem, czego oni ode mnie chcą. Bo oni mi zarzutów nie przedstawiali. Cały czas były jakieś historie związane a to z odwoływaniem się do wojska... Co było najlepsze, to że ja żadnego związku emocjonalnego nie... To trzeba być naprawdę... W głowie mieć narobione. Pod koniec mi zaproponowano,

żebym wykazał się postawą patriotyczną... Jakie to były sformułowania tego pana... Nieprawdopodobnie sympatyczny facet na końcu mi się przytrafił, który ze mną rozmawiał. On powiedział, że takie rzeczy się przytrafiają każdemu, że to jest nic straszego. Opowiadał to wszystko, ja siedziałem, byłem zarośnięty, bo się nie goliłem. Postanowiłem się nie golić ani nie strzyc. On mówił, że tutaj lada chwila będzie zwolnienie, że wie o jakichś historiach związanych ze mną, bo nie wszystko... Ja byłem przekonany cały czas, że kabel jest w zakładzie pracy. Tak dosłownie byłem sto procent przekonany, że facet mnie wysprzedał, nie? No, ale okazało się, że to tak nie było.

Jak się mówi o lustracji, to zawsze w ten sposób, że: bo to podziały, bo to i tamto. Ja czegoś takiego do wiadomości nie przyjmuję, bo to jest bardzo proste przełożenie. Jak się kogoś lubi, to jest prosta historia... To tylko tam, gdzieś daleko, w Warszawie, takie straszne rzeczy wynajdują i takie okropne słowa. Chyba wtedy zacząłem jakby nabierać... Zobaczyłem, że nie wszystko jest... Dotknęło mnie bezpośrednio takie... Nie można powiedzieć, że zdrada, nie? Uczestniczyłem w czymś niedobrym. Gdzie miałbym większą przyjemność... Znaczą, przyjemność... Nie przyjemność, tylko większą mógłbym mieć świadomość tego, co się dzieje naokoło mnie, gdybym był bardziej zaangażowany w cokolwiek, nie? A tu u mnie się zrobiło coś takiego: ani swojego, ani przeciwnika. Najlepszy kolega, okazało się ubek, kurde, był na końcu. On mi tutaj rady zaczął podawać. Mówi: „słuchaj, może tutaj...” Bo na „ty” do mnie mówił. Niewiele starszy pewnie ode mnie był. Mówi: „tutaj chyba sam już przemyślałeś”, tak, jakby on mnie już... Jakbym ja przemyślał to wszystko i on o tym wie. „Tutaj moglibyśmy...” Nie podjąć współpracę... Jakie to były słowa? To było bardzo gładziutkie. Ja też nie wiedziałem, że coś takiego jak współpraca wchodzi w rachubę. Bo ja w życiu bym nie pomyślał, że można być... Będąc w więzieniu dowiedziałem się od kryminalistów, kim jest konfident. Nie wiedziałem, że można być konfidentem na przykład w sprawach politycznych. Bo to raczej nie ma... Jest zdrajca, nie? No, ale ten mi zaproponował, że można... Mógłbym pełnić istotną funkcję i tak dalej. Że po takiej jednostce wojskowej to chyba oczywiste jest. Powiedziałem mu, że dla mnie to tam nic oczywistego nie ma, że nic nie będę podpisywał.

Wychodząc z więzienia... Z tego aresztu śledczego jeszcze inaczej widziałem rzeczywistość, niż... Jeszcze miałem inny ogląd. Dopiero później mi to się zaczęło jakoś tam składać. Do pracy wróciłem, ale pracowałem niedługo. Bo się zaczęły problemy, bo ja liczyłem na mieszkanie, okazało się tam, że z mieszkania będą nici, bo ja jestem słaby pracownik, takie dno. I tak dalej, i tak dalej. No, to doszedłem do wniosku, że ja faktycznie jestem słaby pracownik, nie? Że ja już mam dosyć tego dobrego, budowania dobrobytu. I wtedy z bratem myśmy spróbowali zrobić taki zakład stolarski. I też nie cierpiałem tej pracy, bo to żadne stolarstwo nie było, tylko krojenie płyty. A ja całe życie chciałem albo łodzi robić, albo tam jakieś realizować... Mnie się wydawało, że człowiek... Nie chodzi o to, żeby rzeczy wielkie robić, tylko to, co człowiek powinien dobrze robić, nie?

Zapis z nagrania i redakcja tekstu: Jacek Galewski